

wracać. Powiedziałem, że przyjdę, jak przyjdzie Witek i usiadłem na progu. Skąd ta Cyganka wiedziała, że ja nie mam mamy? Skomplikowane. Siedziałem i myślałem, aż wróciła ciocia Stasia prowadząc Witka, któremu chyba się oberwało od cioci, bo pochlipywał. W domu Stasia jadła kolację. Obok leżał dla mnie chleb i kubek kawy z palonej cykorii zabielenym mlekiem. O tej kowie to też chce mi się opowiedzieć, bo to bardzo ciekawa kowa, ale to już kiedy indziej. Ciocia wyciągnęła z kąta worek i zaczęła darcie pierzy. Jak każdego wieczoru zrobiło się przytulnie, sen nie i cicho. Ciocie nuciły zgodnie „wszystkie nasze dzienne sprawy”, a ja ciągle myślałem byłem przy tym, co mi powiedziała Cyganka. Jaka jest ta moja mama? Wcale jej nie pamiętałem. Na zdjęciu, co mi ciocia pokazywała, była taka elegancka, w kapeluszu i białych butach. Nigdzie takiej nie widziałem, nie była podobna, do żadnej mamy, które mieszkają tutaj, niedaleko, i wcale niepodobna ani do cioci Stasi, ani do cioci Tekli. Onieśmielała mnie ta moja mama ze zdjęcia. Białe buty? To może dlatego, że jest Niemką? Czy Cyganka wiedziała też, że moja mama jest Niemką? No dobrze, co będzie, to będzie, ale jaki jest ten księżyc? A dlaczego nie mówiła nic o tacie? Tatę pamiętam. Jak go zabierali, to powiedział do mnie tylko, że zaraz wróci. Tato nie miał nigdy białych butów. Bo tato był Polakiem?

– Romek, popatrz, popatrz, jaka dziura w suficie.

– Gdzie?

– Tam, tam... – Siacha pokazała na lampę elektryczną, która podobno kiedyś się świeciła zamiast naftowej, ale dziury nie było.

– Oj, Krysio, oj, Krysio... Wypił kawę i pokłnął garnuszek.

– Ciocia. Siacha schowała mi garnuszek.

Ucichła wieczorna pieśń o „wszystkich naszych dziennych sprawach”.

– A idźcie wy spać, zatrzańcy jedne. Jak dzikie pół dnia za Cyganami ciekali, a jeszcze im mało. Już was nie ma. Do łóżka. Marsz.

Oczy nie zamykały mi się. Siacha udawała, że śpi i przeraźliwie chrapała. Pchała się przy tym plecami do mnie, że niby ma mało miejsca. Szukała zaczepki. Gdybym ją tylko odepchnął, narobiłaby wrzasku, że jej nie dają spać. Trwało to jakiś czas. Ale, że nie reagowałem, uspokoiła się wreszcie.

– Krysio.

Nie lubiłem tego mojego imienia. Tylko Witek mówił do mnie inaczej. Mówił mi: Krysiek. I to mi się podobało, ale inni ciągle to samo, Krysio to, Krysio tamto. Ale tato też wołał do mnie Krysio. A mama? Nie pamiętam.

– Krychu – Siacha powtórzyła wołanie.

– Co?

– Co ci nagadała ta Cyganicha?

– Nie mówi się „Cyganicha”!

– Ale co ci nagadała?

– A wstaniesz dzisiaj ze mną w nocy? To ci powiem.

– Wstanę.

– Powiedziała, że jak księżyc będzie taki, jak dzisiaj w nocy, to moja mama wróci.

– A jaki jest?

– Jeszcze nie widać. Musimy w nocy wstać i zobaczyć. Nie śpij.

– Dobra. Ale twoja mam i tak nie wróci, bo ją Niemce zabrali do siebie, a Cyganka to ma grzech, bo nie wolno wróżyć.

Długo tak leżałem i wcale nie chciało mi się spać. Deszcz zaczął bębnić w szyby. Ściemniło się gwałtownie. Spałem z Siachą w jej dzieciennym łóżeczku z zasuwaną siatką. Osobno na sofie spał Witek, a ciocie spały w kuchni. Zaczęły zjawiać się mamy. Były różne: były jak ciocia Tekla z siwymi włosami i dobrośliwym uśmiechem, i były też podobne do mamy Gawła. Niektóre były nawet ubrane tak, jak te, co mieszkają w środku miasta; nie okryte chustą, ale w palcie i w butach. I były takie, jak ta Cyganka, tylko że to małe z żółtym plackiem na sodce, nie miało czarnych błyszczących oczu, a bardziej znajome, niebieskie.

Tabor cygański po kilku dniach opuścił Lubraniec.

Witek, gdy był w domu, to opowiadał w kółko różne fantastyczne historie o jego tacie i koniach cugowych w ich gospodarstwie, które im odebrali Niemcy, a teraz byli tam Ruscy. Na dworze zrobiło się ciepło i zielono, a ciotka Stasia upiekła któregoś dnia prawdziwy placek z rabarbarem i zrobiło bardzo święciecznie w domu. Dopiero od Witka dowiedziałem się o dlaczego:

– Tato już niedługo przyjedzie. Już się wojna skończyła i Niemców nigdzie już nie ma.

– A moja mama?

– Twoja mama, to nie żadna Niemka – pocieszała mnie ciocia Tekla.

– Jaka ona Niemka, jak ty nawet pacierz po polsku mówisz – dołączyła się ciocia Stasia.

Ale mama mówiła pacierz po niemiecku. To sam słyszałem.

Aż kiedyś wpadł do domu, jak bomba, kuśtykając, Gawel.

– Pani Betlińska... Pani Sroczyńska... Tam. Koło lasu przy drodze z Brześcia jest jakaś baba i pyta się wszystkich dzieciaków, czy kto zna Krystka.

– Mama Krysia? Emma?

– No. Nie wiem. Chyba. Cholera. Ale ja nic nie powiedziałem. Cholera, ona jest chyba chora, albo co, bo chodzi o kiju i jest jak śmierć na chorągwi. Cholera. Skomplikowane.

Kobieta siedząca na skarpie przy drodze, była okutana jakimś zniszczonym płaszczem wojskowym. Głowę miała obwiązaną chustą. Nie miała butów, tylko owijki z grubych, portarganych szmat. Siedziała na skarpie wsparta na sękatym kiju. To była moja mama. Poznałem ją i ona mnie poznała. Zaraz przyszły też obie ciocie, Witek i Siacha, a Gawel stanął trochę bliżej drogi i się nam przyglądał. Wszyscy płakali zamiast się cieszyć. Do domu na końcu ulicy świętej Anny było stąd kawałek i pod górę. Mama zostawiła kij i szła podtrzymywana przez ciocie. A potem w domu rozmawiały ze sobą bardzo długo w noc, jak my poszliśmy już spać. I tylko nie wiem jak spały

ciocie i mama, bo w tym domu był tylko jeden pokój i kuchnia.

O tym jak cyganka za kawałek żółtego ciasta na sodce wywróżyła mi, że mama przyjdzie, opowiedziałem chyba dopiero dużo później, jak już wróciliśmy do Brześcia. Potem wrócili Alek, co uciekł z niemieckiego wojska i się ukrywał. A potem tato. I tylko Heńka jeszcze nie było, ale napisał, że jest we Francji u Andersa.

A ja stempluję siwe konie, jak wtedy, chociaż dzisiaj mam dzieci i wnuczkę.



Zdjęcie wykonane prawdopodobnie w roku 1947, w ogrodzie domu dziadka Manteuffla, po powrocie rodziców i starszego brata, Aleksandra. Krystian wraz z mamą Emmą i tatą Janem. Siedzi ciocia Tekla, obok Siacha i Basia, przyszła żona Alka, który po próbie ucieczki z wehrmachu, siedział w więzieniu skazany na dożywocie. W mundurze harcerskim – Witek. Drugi brat, Henryk, już się odnalazł w Armii gen. Andersa we Francji, ale jeszcze nie wrócił.

Od Autora: Jest to opowiadanie, które ukażało się w wydaniu książkowym zbioru pod tym samym tytułem w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej w roku 1968, uaktualnione kilkoma faktami, o których dowiedziałem się od Siachy po latach. Aczkolwiek wydarzenia tam opisane były prawdziwe na tyle, na ile je zapamiętałem, zmieniłem wtedy imiona i miejsce akcji. Wydarzenia są oczywiście autentyczne, choć oplecione fabułą fikcji literackiej. Po wielu latach odnalazłem jedyną żyjącą postać z tamtych zdarzeń, Siachę, którą w pierwszym wydaniu nazwałem Kazią. Siacha żyje i mieszka w Lubrańcu. W tej wersji wprowadziłem rzeczywiste imiona postaci i zachowałem miejsce akcji (Lubraniec i Brześć Kujawski).

Warto wspomnieć o okolicznościach odnalezienia Siachy. Był to chyba rok 2005, może 2006. Zostałem zaproszony na spotkanie autorskie do Miejskiej Biblioteki w Lubrańcu. Po spotkaniu zapytałem, czy ktoś zna Stanisławę Sroczyńską. Nikt nie znał. Byłem zrezygowany. Już po oficjalnym pożegnaniu rzuciłem jeszcze pytanie: – A może zna ktoś Siachę? Znali wszyscy. Dziś nazywa się Sądzińska. Tylko ona została z tej rodziny. Tak, że z postaci na zdjęciu zbiorowym w ogrodzie dziadka Manteuffla, żyje tylko Siacha i ja.

Krystian Medard Czerwiński

